

Curtis L. Hancock

Uniwersytet amerykański zdemaskowany

Człowiek w Kulturze 21, 37-57

2009/2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Curtis L. Hancock
Rockhurst Jesuit University
Kansas City, Missouri, USA

Uniwersytet amerykański zdemaskowany

W 1957 r. Związek Sowiecki wystrzelił satelitę o nazwie „Sputnik”. To wydarzenie postawiło Stany Zjednoczone w stan pogotowia. Ameryka obawiała się, że Sowieci mogliby wygrać „zimną wojnę” dzięki przejęciu kontroli nad zimnymi przestworzami kosmosu. Prezydent Dwight Eisenhower wezwał do podjęcia „kosmicznego wyścigu”. W 1958 r. rząd utworzył Państwowe Biuro ds. Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (NASA). John Kennedy, następca Eisenhowera, zobowiązał się, że do 1969 r. Ameryka przeprowadzi lądowanie człowieka na księżycu.

Rząd, w celu poparcia kosmicznego wyścigu, skierował poważne wsparcie finansowe do różnych instytucji. O wykorzystanie tej rządowej inicjatywy zabiegały również władze amerykańskich uniwersytetów. Przy udziale rządowych funduszy uniwersytety mogły rozbudować przestrzeń dla dalszych badań technologicznych. Na terenie uniwersyteckich kampusów powstawały wyrafinowane laboratoria. Stoją one nadal niczym pomniki amerykańskiej recepty na zwycięstwo w „zimnej wojnie”. Każdy z nich jednak przyczynił się do zmiany kultury amerykańskiego uniwersytetu. Po „Sputniku” amerykański uniwersytet był już innym miejscem.

Uniwersytety, aby przekonać studentów i wydziały do badań technologicznych, zmieniły swoje curricula. Większy nacisk został położony na nauki przyrodnicze, zwłaszcza na fizykę i inżynierię. Tymczasem tradycyjna edukacja humanistyczna była bagatelizowana. Badania naukowe i rozwój technologiczny cieszyły się większym uznaniem, ponieważ miały one mieć swój udział w badaniach prze-

strzeni kosmicznej, a ostatecznie w zapewnieniu bezpieczeństwa państwa. Jednym ze skutków tej sytuacji było umocnienie przekonania, dominującego już wcześniej w pewnych kręgach akademickich (zarówno amerykańskich, jak i europejskich), że uniwersytet dzieli się na dwie domeny, które brytyjski uczony Charles P. Snow przedstawił w swoim słynnym wykładzie z 1959 r. pt. *Dwie kultury* (*The Two Cultures*). Podział ten miałby obejmować: (1) matematykę i nauki fizykalne, które wielu nauczycieli prezentowało jako dyscypliny „twarde” i „rzeczowe”, oraz (2) literaturę, filozofię i religię, które ci sami nauczyciele degradowali do rangi studiów „miękkich” i „subiektywnych”. Ten podział jest ciągle obecny w postawach wobec kultury, zajmowanych na amerykańskich uniwersytetach. Chociaż w ostatnich latach został on osłabiony na skutek ataków relatywizmu i niepowodzeń polityki w naukach przyrodniczych¹.

Nic więc dziwnego, że inne dyscypliny dowodziły swoich związków z naukami fizykalnymi tak, aby przez skojarzenie mogły mieć udział w ich statusie i wiarygodności. Nawet filozofia nie oparła się tej pokusie. Wiele wydziałów filozofii poparło anglo-amerykańską tendencję do pozytywizmu, obejmującą przekonanie Augusta Comte’a, że filozofia jest ledwie dodatkiem do nauk. Jednak najbardziej oczywista próba sojuszu z naukami przyrodniczymi miała miejsce w naukach społecznych. Psychologia, socjologia, antropologia, politologia oraz ekonomia stanowiły większą część programu. Nauki społeczne zaczęły wywierać coraz większy wpływ na uniwersytecką administrację. Oczekiwały one większych funduszy i środków, i otrzymywały je. Nauki społeczne, dla zrationalizowania swoich relacji z naukami przyrodniczymi, udzieliły poparcia naturalistycznemu redukcjonizmowi i jego pojęciu osoby ludzkiej, według którego istota ludzka jest po prostu zwierzęciem wyjaśnianym przez nauki biologiczne. Osobę ludzką pojęto jako organiczną maszynę, wyjaśnianą w świetle darwinowskiej biologii, która z kolei w biologii jako takiej była przejawem deterministycznej fizyki i chemii. W Ameryce psychologiczny beha-

¹ C. P. Snow, *The Two Cultures*, Cambridge 1998.

wioryzm był nurtem dominującym przez całe dziesięciolecie. „B. F. Skinner” stał się praktycznie synonimem psychologa behawiorysty².

W naukach przyrodniczych i społecznych dychotomia faktu i wartości była czymś aksjomatycznym. Zakładano w niej, że ludzkie cele i wartości mogą być usprawiedliwione lub „zredukowane” do czysto naturalistycznych wyjaśnień. Obecność „dwóch kultur” podzieliła uniwersytecki kampus, na skutek czego w pracowniach humanistycznych mówiono o kondycji człowieka klasycznym językiem pojęć metafizycznych i zasad moralnych (językiem, do którego należały takie kategorie, jak *śluszny*, *dobry* i *celowy*), tylko po to, żeby następnie zaprzeczyć im podczas zajęć z nauk przyrodniczych i społecznych.

Jakby dotychczasowych zmian, które zaszły w latach 60. XX w., było jeszcze zbyt mało, żeby zdezorientować kulturę uniwersytetu, dołączyła do nich inna, godna zauważenia okoliczność: immatrykulacja pokolenia, które urodziło się po wojnie, pokolenia zwanego „baby boomers”. William Strauss i Neil Howe w swojej głośniejszej książce pt. *Pokolenia (Generations)*, stanowiącej studium nad kolejnymi pokoleniami społeczeństwa amerykańskiego od 1584 r., określili, że „baby boomers” to szesnaste pokolenie licząc od XVI w., czyli Amerykanie urodzeni między 1943 r. a 1960 r.³. Trudno przecenić wpływ, jaki to pokolenie wywarło na amerykańską edukację i amerykańskie społeczeństwo. Kończąc niejako okres swego dojrzewania na uniwersyteckich kampusach, określało ono siebie jako „studentkich radykałów”. Jego utopijna działalność, czasami nacechowana przemocą, zmierzała do przemiany Ameryki w socjalistyczne społeczeństwo egalitarne. Niektórzy jego przedstawiciele, jak William Ayers (współpracownik Baracka Obamy), popierali politykę stalinowską i uczestniczyli w rewolucyjnych działaniach z użyciem broni. Ogromna liczba aktywistów, takich jak William Ayers, zajmuje dziś stanowiska profesorskie⁴.

² Burrhus Frederic Skinner (1904-1990), psycholog amerykański, jeden z czołowych przedstawicieli behawioryzmu [przyj. tłum.].

³ W. Strauss, N. Howe, *Generations: The History of America's Future, 1584-2069*, New York 1991; zob. zwłaszcza część II, rozdział 11, s. 295-343.

⁴ Na temat związków Baracka Obamy z Williamem Ayersem zob. J. R. Corsi, *The Obama Nation: Leftist Politics and the Cult of Personality*, New York 2008.

Radykałowie studenci dołączyli do kampusu wtedy, gdy uniwersytet był główną siłą w walce z marksizmem podczas „zimnej wojny”. A ponieważ wielu z tych, którzy sympatyzowali ze studentkim radykalizmem, z czasem stanęło na czele licznych dziedzin amerykańskiej kultury, to dziedzictwo lat sześćdziesiątych w amerykańskim społeczeństwie jest ciągle czymś widocznym. (Na przykład, pierwszym przedstawicielem „baby boomers”, który został prezydentem Stanów Zjednoczonych, był William Clinton.) Olbrzymia liczebność tego pokolenia (według obliczeń urzędu statystycznego USA, liczy ono 76 milionów) uczyniły go motorem napędowym zmian społecznych.

W latach 60. i 70. ubiegłego wieku protesty pokolenia „baby boomers” przeciw wojnie w Wietnamie demoralizowały naród i osłabiały zdecydowanie rządu w dążeniu do zwycięstwa w tym konflikcie. Afera „Watergate”, która obaliła prezydenturę Richarda Nixona w 1974 r., była w ogromnym stopniu napędzana oskarżeniami stawianymi prezydentowi wobec opinii publicznej właśnie przez to pokolenie. Jego samozwańczy przywódcy traktowali porażkę Ameryki w Wietnamie i rezygnację Nixona jako swoje moralne zwycięstwa. Co kilka lat siwiejący już dziś członkowie pokolenia „baby boomers” publikują wspomnienia własnej chwały, rozpisując się na temat tych wydarzeń – Wietnamu i Watergate – w słowach i stylu, które zawierają co najmniej tyle wyrazów uznania wobec siebie, co mowy Churchilla do Brytyjczyków, które nieustannie poruszają dumę starszych pokoleń wspominających „czasy swojej świetności” w walce z Luftwaffe.

Innym sposobem wyrażania samozadowolenia przez pokolenie „baby boomers” jest kino. Na przykład w 2003 r. wyprodukowany został film pt. *Mgły wojny* (*The Fog of War*). Robert McNamara, doradca w Departamencie Stanu za prezydentury Lyndona Johnsona, mógł w nim przeprosić za swój udział w kierowaniu wojną w Wietnamie. Jednak zamiast rzetelnych przeprosin, mówiących o tym, że wojna była do wygrania i że ówczesny prezydent wraz ze swoim doradcą zepsuli ją swoją nieudolną administracją, McNamara wypowiedział – powtarzany do znudzenia przez przedstawicieli pokolenia „baby boomers” – tekst, że Ameryka w wojnie wietnamskiej rzeczy-

wiście była łamiącym prawo agresorem i że nigdy nie powinna wszczynać wojny na południowym wschodzie Azji. Film został uznany za ilustrację tego, jak oświecone pokolenie „baby boomers” pomogło starszym od siebie Amerykanom wreszcie „ujrzeć światło”⁵. Ciekawe jednak, że film ten zupełnie zignorował późniejsze wydarzenia, które miały miejsce w południowo-wschodniej Azji po tym, jak oświecone pokolenie, amerykańskie media oraz nieudolność McNamara i administracji Johnsona, zmusiły Stany Zjednoczone do opuszczenia Wietnamu: wejście Pol Pota i Czerwonych Khmerów do Kambodży i rzeź ponad dwóch milionów ludzi.

Obrona przed holokaustem jest dobrym powodem do prowadzenia wojny. Zło wojny wietnamskiej nie polegało na tym, że ją prowadzono, ale na tym, że prowadzono ją nieudolnie i bez woli zwycięstwa. Studenci radykałowie, razem z Robertem McNamarą, byli odpowiedzialni za tę nieudolność i utratę ducha walki.

Nie ma potrzeby mówić, że pokolenie „baby boomers” było motorem napędowym życia społecznego nie tylko w latach 60. i 70. ubiegłego wieku. Jego 76-milionowa rzesza nieprzerwanie nadaje kształt amerykańskiemu społeczeństwu. Wielu z nich (jednak nie wszyscy) ciągle entuzjastycznie dochowuje wierności tej samej, quasi-marksistowskiej (lub nie tak bardzo quasi) polityce, którą wchłonęli kilkadziesiąt lat wcześniej. Biorąc pod uwagę to, co obecnie wiemy o tej smutnej historii komunistycznych społeczeństw, krytycy lewego skrzydła członków pokolenia „baby boomers” oskarżają ich o ideologiczną idolatrię, która czyni ich ślepyimi wobec faktów. Ważne jest to, aby zdać sobie sprawę z tego, że ta ideologia jest endemiczna nie tylko na dzisiejszych uniwersytetach amerykańskich, lecz także w wielu innych sferach amerykańskiego społeczeństwa.

Spółeczni krytycy, od Roberta Borka (*Slouching Towards Gomorrah*) do Thomasa Sowell (a *The Vision of The Anointed*), twierdzą, że każda gałąź lub wymiar kultury amerykańskiej jest obecnie pod kontrolą przedstawicieli pokolenia „baby boomers”, którzy nadal popierają tę samą ideologię, którą wspierali w latach 60. XX wie-

⁵ Film dokumentalny pt. *The Fog of War: Eleven Lessons from the Life of Robert S. McNamara*; reż. E. Morris; rok produkcji 2003.

ku⁶. Ameryka stała się ich królestwem. Zaludnili oni i opanowali „hałaśliwe” klasy polityków, dziennikarzy, członków akademii oraz ludzi estrady. Prawnicy, a nawet kler, reprezentują ich socjalistyczne tendencje. Ich najbardziej rzucającym się w oczy zwyczajem jest wielomówstwo. To ono wbija w pychę polityków i dyplomatów, przekonanych o tym, że ich panowanie nad językiem jest w stanie zapobiec złu na świecie. „Ideologia” jest właściwym słowem na określenie ich działania. Obejmuje ona przede wszystkim politycznie poprawny (lub konformistyczny) światopogląd, który nie jest otwarty na dyskusję, przynajmniej nie w tym, co się tyczy jego podstaw. Jest ona czymś elementarnym na amerykańskim forum publicznym, a zwłaszcza na uniwersytetach, na których „oświecone umysły” uznają ją za własną. Podtytuł książki Sowell'a doskonale ujmuje tę ideologię: *Wizja namaszczonych: samozadowolenie jako polityka społeczna (The Vision of the Anointed: Self-Congratulation as Social Policy)*.

Pokolenie „baby boomers” musiało sięgnąć po stanowiska profesorskie, czyli po te najbardziej „wygadane”. Kiedy studenci radykałowie kończyli studia, dojrzewali i stawali się przywódcami, ich postawy niechybnie zaczynały dominować w kulturowym krajobrazie uniwersytetu. Ten fakt był gruntownie przebadany przez Rogera Kimball'a w jego pracy pt. *Radykałowie na posadach (Tenured Radicals)*⁷. Niegdyś młodzi studenci radykałowie są teraz wiekowymi profesorami uniwersyteckimi. Radykałowie stanowią więc „establishment”, co jest niejako ironiczną nazwą wobec tego, że w latach 60. ubiegłego wieku była ona przez nich używana w znaczeniu pejoratywnym pod adresem starszego konserwatywnego pokolenia. Establishment jest obecnie ideologicznie liberalny. Studia potwierdzają, że przedstawiciele pokolenia „baby boomers”, którzy są u władzy, utrzymują swoją lewicową wrażliwość. Zaledwie niewielka część nauczycieli akademickich uważa się za politycznych konserwatystów. Podczas wyborów ogólnokrajowych ponad 90% głosuje na Partię

⁶ R. Bork, *Slouching Towards Gomorrah: Modern Liberalism and American Decline*, New York 1996; Th. Sowell, *The Vision of the Anointed: Self-Congratulation as a Basis for Social Policy*, New York 1995. Zob. również Th. Sowell, *Intellectuals and Society*, New York 2009.

⁷ R. Kimball, *Tenured Radicals*, New York 1990.

Demokratyczną (liberalną)⁸. Tę jednolitość preferencji politycznych wśród profesorów ujmuje w swoim tytule ostatnia książka Davida Horowitza na ten temat – *Klasa szkolna jednej partii (One Party Classroom)*⁹.

Ta inercja kulturowa wyjaśnia jednorodność przekonań i wartości we wspólnocie uniwersyteckiej. Jedną z najbardziej zabawnych cech życia uniwersytetu jest to, że władze akademii oczekują, że profesorowie i studenci będą myśleć w podobnych „oświeconych” kategoriach co oni, podczas gdy sami głoszą wartość autonomii. Tacy nauczyciele szczerze wierzą, że ich szkoły produkują niezależne i sokratejskie umysły. To złudzenie jest zjawiskiem „stada niezależnych umysłów”.

Kolejnym dowodem na polityczny konformizm uniwersytetów jest sposób, w jaki „wprowadzają one łodzie” do portu i chronią radykałów w swoich murach. Uniwersytety działają na korzyść setek lewicowych ekstremistów. David Horowitz w swojej książce pt. *Profesorowie (The Professors)* omawia 101 z nich. Wspomniany uprzednio William Ayers stanowi dobrą ilustrację. Jego przypadek odkrywa gotowość władz uniwersyteckich do obrony, wsparcia i przyjęcia pod swój dach tych ekstremistów, którzy podzielają komunistyczne sympatie i są antyamerykańscy. Daje on również mocne dowody na to, że niektórzy przywódcy polityczni są bardzo uprzejmi wobec takich ekstremistów. Barack Obama przebywał w domu Williama Ayersa, kiedy w 1995 r. ogłosił on decyzję startu w wyborach do senatu w Stanie Illinois. Ten fakt może niepokoić, skoro Ayers uchodzi za nieprzejednanego terrorystę własnego kraju. Kilka uwag na temat życia Williama Ayersa otworzy zapewne szerszej okno na wewnętrzne patologie amerykańskich uniwersytetów¹⁰.

⁸ Zob. H. Kurtz, *College Faculties, A Most Liberal Lot, Study Finds*, „Washington Post”, 29 marca 2005.

⁹ D. Horowitz, J. Laksin, *One Party Classroom: How Radical Professors at America's Top Colleges Indoctrinate Students and Undermine Our Democracy*, New York 2009.

¹⁰ D. Horowitz, *The Professors: The 101 Most Dangerous Academics in America*, Washington 2006.

William Ayers razem ze swoją żoną, Bernadine Dohrn, byli w latach 60. ubiegłego wieku liderami amerykańskiej organizacji terrorystycznej zwanej „Weatherman”. Wspólnie zainicjowali i wzięli udział w ponad 30 atakach na Amerykanów. Specjalizowali się w używaniu bomb. Według nich taktyczne bombardowania miały zniszczyć infrastrukturę bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Ich celem było wywołanie wojny rasowej w Ameryce (którą określali słowem *Amerikkka* przez trzy „k”, co miało nawiązywać do Ku Klux Klanu) jako preludium do masowej rewolucji komunistycznej. Pogardzali oni Ameryką i mówili o tym wprost: „Zabij wszystkich ludzi bogatych. Zniszcz ich samochody i mieszkania. Wprowadź rewolucję do domu, zabij swoich rodziców”¹¹.

Grupa terrorystyczna „Weatherman” dokonała zamachów bombowych na budynek Kapitolu USA, główną siedzibę policji w Nowym Jorku, Pentagon, oraz urzędy Gwardii Narodowej w Waszyngtonie. Oprócz wymienionych „sukcesów” jej akcje nie zawsze kończyły się pomyślnie. Trzej członkowie grupy zginęli w pewnym mieszkaniu na Manhattanie w wyniku eksplozji bomby, którą starali się skonstruować. Bomba ta miała im posłużyć do zabicia rekrutów wojskowych i osób im towarzyszących podczas spotkania w Fort Dix w Stanie New Jersey¹².

Ayers i Dohrn przez lata dokonywali szaleńczych zbrodni pod egidą swoich współtowarzyszy z progresywnej lewicy, do których należeli także najlepiej opłacani adwokaci. Ujawnili się w 1980 r. Po krótkim epizodzie więziennym wyszli na wolność na mocy orzeczenia sądowego, że rząd rozpracowując działalność Ayersa i Dohrn, posłużył się „niewłaściwymi metodami nadzoru”. Zamiast wykluczenia z życia publicznego oboje zostali przyjęci jako „naukowe znakomitości” na kampusach uniwersyteckich. Oboje dostali się na uczelnie, gdzie ich polityczni towarzysze, urzędujący obecnie na wydziałach, pomogli im wejść na drogę nowej kariery. Dohrn została profesorem prawa w Northwestern University, a także prominentnym członkiem Amerykańskiej Izby Adwokackiej. Ayers został profesorem

¹¹ Tamże, s. 29.

¹² Tamże.

rem nauczania początkowego i naukowcem wyższej rangi na University of Illinois w Chicago. Żadne z nich nie zmieniło swoich politycznych poglądów¹³.

W swojej autobiografii pt. *Dni uciekiniera (Fugitive Days)* Ayers bez żadnych skrupułów z uznaniem wyraża się o swojej terrorystycznej przeszłości. Po ujawnieniu się w 1980 r. Ayers podjął pracę nauczyciela w przedszkolu¹⁴. Tam też udzielił wywiadu pewnemu dziennikarzowi, któremu sarkastycznie przyznał się, że nie może uwierzyć w swój szczęśliwy los: „Winny jak cholera, wolny jak ptak! Ameryka to wspaniały kraj”. Blisko trzydzieści lat później chlubił się swoją przeszłością: „Nie żałuję podkładania bomb” – powiedział w wywiadzie dla *New York Times* – „Uważam, że zrobiliśmy zbyt mało”. Nie przejawiał on żadnych wyrzutów sumienia ani wstydu, pomimo że wielu ludzi, w większości policjantów, padło ofiarą zamachów bombowych grupy „Weatherman”¹⁵.

Podjąłem tę krótką wycieczkę po biografii Williama Ayersa w celu zilustrowania (1) typu ludzi, którzy często znajdują schronienie i uznanie w amerykańskich uniwersytetach, a także (2) specyfiki klimatu prawdziwie stalinowskiego, który musi istnieć, jeśli chce się usprawiedliwić takich jak oni beneficjentów uniwersytetu i zaopiekować się nimi. William Ayers nieprzerwanie cieszy się uznaniem w dziedzinie nauk społecznych w zakresie nauczania początkowego. Jego nazwisko przyciąga wielkie audytoria podczas konferencji na temat edukacji elementarnej. Przykład Ayersa jest niepokojącym obrazem tego co złe na Amerykańskich uniwersytetach.

Powyzsze uwagi wskazują, że amerykański uniwersytet jest zagrożony w ideologii. Dominacja lewicowej ideologii w kampusie skutkuje rozkładem moralnym. Przejawem takiego rozkładu jest gotowość do usprawiedliwiania błędów i niekompetencji, które wynikają z ideologii politycznej poprawności (tudzież z ideologii lewicowej). Ilustracji takiego rozkładu nie brakuje. Weźmy na przykład profesora, który u początku swojej kariery wygłasza tezę, że – mimo

¹³ Tamże, s. 30.

¹⁴ W. Ayers, *Fugitive Days*, Boston 2001.

¹⁵ „New York Times”, 11 września 2001.

iz reprezentuje ideologię lewicową – potrafi przyciągnąć uwagę szerokiego audytorium. Zdarza się jednak czasami, że jego „sensacyjna teza” nie jest w stanie stawić czoła krytyce. Rozumni ludzie zaczynają dostrzegać, że jego dowody zdecydowanie obracają się przeciw niemu tak bardzo, że tylko ideologowie (fanatycy albo ci, którzy zachłyszeli się swoją karierą) trwają przy nauczaniu profesora. W takim wypadku pozbawiony krytycyzmu klimat uniwersytetu często trzyma profesora w izolacji, zachęcając go do wierności swojej skompromitowanej tezie, tak jakby w rzeczywistości żadna krytyka nie istniała. Niestety, grono adorujących go słuchaczy może być na tyle liczne, że skutecznie utwierdzi ich naukowego guru w jego ideologicznym uporze. Poza tym, pomimo trwania przy swoich kompromitujących poglądach, profesor może nadal poruszać się w kręgach, w których cieszy się takim uznaniem i zaufaniem, jak poprzednio. Oskarżenia o błędy, niekompetencję czy niewiarygodność nie trafiają do świadomości takich „teflonowych panów”. Ewidentnie jest to dysfunkcja, która prowokuje do żartu, że „uniwersytet jest to abstrakcyjna wyspa otoczona przez rzeczywistość”.

Przykłady profesorów tego typu podaje Thomas Sowell. Weźmy sprawę Johna Kennetha Galbraitha, który zbudował swoją karierę, zapewniając wielokrotnie, że gospodarka wolnorynkowa poniesie porażkę i że niechybnie socjalistyczna gospodarka Związku Sowieckiego zapanuje nad światem. Takie przewidywania snuł on na kilka lat przed rozpadem Kraju Rad. Upadek ekonomii sowieckiej niewiele jednak wpłynął na sławę Galbraitha – pozostał on nadal „szarą eminencją” gospodarki amerykańskiej¹⁶.

Kolejnym przykładem „teflonowego proroka” jest biolog Paul R. Ehrlich, czarnowidz w kwestii przeludnienia i autor takich książek, jak *Populacyjna bomba* (*The Population Bomb*) oraz *Populacyjna eksplozja* (*The Population Explosion*). W latach 60. i 70. ubiegłego wieku głosił on, że w ciągu dziesięciu lat globalne przeludnienie spowoduje głód, choroby i nieznośne zatłoczenie miast – katastrofy te pociągną za sobą przewlekły chaos polityczny, rządy i gospodarki

¹⁶ Th. Sowell, *The Vision of the Anointed*, s. 65-66 (John Kenneth Galbraith zmarł w kwietniu 2006 r.).

legną w gruzach. Taki scenariusz wydawał się czymś pewnym, ponieważ opierał się na zapewnieniach teorii maltuzjańskiej¹⁷.

Oczywiście lata miały, a rządy i gospodarki poszczególnych państw nie popadały w anarchię. Problemy bowiem rządów i gospodarki nie mają wiele wspólnego z zaludnieniem. Mieszkańcom gęsto zaludnionych miejsc – takich jak Hong Kong czy Manhattan – żyje się dobrze, pod warunkiem, że zdrowa jest polityka. Jeżeli natomiast niedomaga polityka, to ludzie doznają niedoli bez względu na to, czy ich populacje są gęste czy nie. Ehrlich nie jest pierwszym prorokiem, którego gubi nieprawdziwość maltuzjanizmu. Jednak jego poglądy rzadko bywają krytykowane na uniwersytetach czy w mediach. Ehrlich ciągle bierze udział w sympozjach naukowych, a jego maltuzjańskie tezy, uznawane za niepodlegające dyskusji, ciągle są oklaskiwane przez podekscytowanych słuchaczy.

Przykład Ehrlicha pokazuje, że nawet empiryczna nauka, taka jak biologia, nie jest odporna na deformujące wpływy lewicowej ideologii. Losy Williama Ayersa i Kennetha Galbraitha są jednak bardziej typowe, ponieważ dotyczą przedstawicieli nauk społecznych. Mówiąc bowiem o uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych, trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że dominującą rolę w amerykańskiej kulturze intelektualnej odgrywają właśnie specjaliści od nauk społecznych. Jak wspomniałem, wysoki akademicki status socjologii w latach 60. ubiegłego wieku był czymś niezwykle atrakcyjnym dla studenckich radykałów. W naukach społecznych znajdowali oni alternatywne („bardziej oświecone”) wyjaśnienie ludzkiej egzystencji i życia politycznego, wyjaśnienie, które unieważniało klasyczne teorie metafizyczne, moralne i teologiczne. Socjologia usunęła obciążenia nienaukowej przeszłości, umożliwiając nowoczesnemu umysłowi

¹⁷ P. R. Ehrlich, *The Population Bomb*, Rivercity 1975. P. R. Ehrlich, A. Ehrlich, *The Population Explosion*, Oxford 2000 (Thomas R. Malthus (1766-1834) *notabene* twierdził, że produkcja żywności może wzrastać jedynie w postępie arytmetycznym, natomiast populacja wzrasta w postępie geometrycznym. Stąd też, dla uniknięcia nędzy na świecie, konieczne jest ograniczenie przyrostu populacji na drodze działań zwiększających śmiertelność lub zmniejszających ilość narodzin. Zob. M. Żardecka-Nowak, *Maltuzjanizm*, w: *Powszechna Encyklopedia Filozofii*, t. 6, red. A. Maryniarczyk, Lublin 2005, s. 759 [przyp. tłum.]

przekroczenie oczekiwań i ograniczeń prymitywnej religii i moralności (w tym chrześcijaństwa i jego etyki). Nauki społeczne stały się modnym kierunkiem, dzięki czemu mogły efektywnie popularyzować taki światopogląd. Obecnie natomiast jednym z najbardziej popularnych przedmiotów kierunkowych (czy też specjalizacji) wśród studentów amerykańskich jest psychologia¹⁸.

Niespójność wiedzy socjologicznej deprymuje zarówno niektórych nauczycieli, jak i studentów. Nauki społeczne są nacechowane pewnego rodzaju eklektyzmem, którego celem jest obrona z jednej strony naturalistycznego redukcjonizmu, a z drugiej – mesjanicznej polityki liberalnej. Oczywiście nie mogą one tego dokonać na dwa sposoby naraz. Obrona naturalizmu unieważnia słuszność i obiektywność języka moralnego. Ludzie bowiem, jeżeli zostaną zredukowani do rzędu zwierząt, nie ponoszą żadnej odpowiedzialności moralnej. A jednak, w celu zniszczenia tradycyjnych przekonań na temat ludzkiej osoby i społeczeństwa, a promocji socjalistycznego światopoglądu politycznego, muszą oni posługiwać się językiem moralnym, muszą zaakceptować zasadność klasycznego języka humanizmu, filozofii, etyki i religii. Nauki społeczne żyją więc pasożytniczo na dorobku klasycznej filozofii i religii, a jednocześnie dążą do jego zniszczenia na drodze różnego rodzaju redukcjonizmów. Dlatego też dzisiejszy uniwersytet cierpi z powodu tych samych sprzecznych tendencji, co wówczas, gdy jego profesorowie byli jego studentami.

Spójne czy nie, nauki społeczne są atrakcyjne dla Amerykanów. Być może stoją za tym purytańskie korzenie Ameryki, ale jest też coś w samym charakterze jej mieszkańców, co czyni ich wrażliwymi na to, co terapeutyczne i konfesyjne. Faktycznie, niektórzy badacze społeczni określają Amerykę jako „kulturę terapeutyczną”. Skutkiem tego nauki społeczne mogą mieć tutaj większy kulturowy wpływ niż gdzie indziej. Usprawiedliwia to ich wysoką rangę na amerykańskim uniwersytecie. Socjologowie stoją na czele komisji akredytacyjnych dla instytucji szkolnictwa wyższego. Mogą oni zatem mieć głęboki i niewspółmierny wpływ na programy uniwersyteckie. Nauki społeczne

¹⁸ „The Chronicle of Higher Education”, styczeń 2002.

ne są wręcz w powietrzu, którym oddychają Amerykanie. Jak mówi jeden z moich znajomych, „są one amerykańską metafizyką”¹⁹.

Powyższe analizy pomagają zorientować się w sytuacji współczesnego kampusu amerykańskiego. Trzeba jednak powiedzieć więcej. Aby zrozumieć, dlaczego tak wielu amerykańskich profesorów myśli w ten, a nie w inny sposób, trzeba poczynić kilka obserwacji filozoficznych.

Kilka uwag filozoficznych

Koncentrując uwagę na rozmowach prowadzonych w amerykańskim kampusie, można usłyszeć wiele oznajmujących zdań w dogmatycznym tonie. Zresztą czymże jest polityczna poprawność, o której wspomniałem wcześniej, jeśli nie zbiorem ortodoksyjnych tez o tym, co jest prawdziwe, a co fałszywe. Niemniej jednak, poza wypowiedziami ideologicznymi, w amerykańskiej auli wykładowej rzadko słyszy się słowo *prawda*. To sprzeczne myślenie jest kolejną znaną cechą amerykańskiego establishmentu edukacyjnego. Przyjmuje się tam polityczne dogmaty, z których wszystkie razem i każdy z osobna są prawdziwe. Wśród tych „prawd” znajduje się dogmatyczny sąd relatywizmu, mówiący o tym, że nie ma żadnej prawdy. Z kolei politycznie poprawny slogan brzmi: „Żadnych sądów”. Nic więc dziwnego, że po czterech latach tego orwellowskiego szturm sądów biedny student jest zdezorientowany.

Postawa jednego z moich kolegów, pracującego na innym wydziale, wobec prawdy jest typowa dla środowiska akademickiego. Stwierdził on kiedyś, iż nie wierzy, że profesor może przekazywać swoim studentom prawdę. Zapytałem go, czy to oznacza, że on sam nie udziela informacji swoim studentom. Odpowiedział, że informacji oczywiście udziela. Kiedy jednak zacząłem udowadniać, że informacja jest rodzajem wiedzy, a *wiedza* jest innym słowem na oznaczenie

¹⁹ Nt. pasjonującej dyskusji o Ameryce jako „terapeutycznej kulturze” zob. R. Bellah, R. Madsen i in., *Habits of the Heart: Individualism and Commitment in American Life*, Berkeley 2007.

prawdy, wówczas odpowiedział, że „bawię się z nim w semantyczne gierki”. Podkreślił zarazem (z całą pokorą), że jest w stanie przekazać studentom jedynie *metodę*, ale nigdy *prawdę*. Powiedziałem mu, że wybór tej metody, a nie innej, zakłada, że jeden sposób odkrycia jest prawdziwie wyższy od innego, że wybór właściwej metody jest rodzajem wiedzy. Innymi słowy, metoda ma sens tylko wtedy, gdy odnosi się ją do celu. Rozpoznanie tej relacji między metodą i celem jest rodzajem wiedzy (nawet jeśli cel nie został jeszcze osiągnięty). Po wysłuchaniu tych uwag mój kolega odszedł wyraźnie zdenerwowany i nigdy już nie podjął tematu naszej rozmowy.

Mój kolega znalazł się w niezręcznej sytuacji na skutek elementarnej techniki sokratejskiej, która postawiła go wobec niekonsekwencji jego własnego rozumowania. Mówiąc ogólnie, istnieją dwie grupy niekonsekwencji, które piszą orwellowski scenariusz na dzisiejszym uniwersytecie. Pierwsza grupa polega na bezpośrednim odrzuceniu własnego stanowiska. Niemal codziennie można usłyszeć deklarację typu: „nikt nie może powiedzieć, co jest *prawdziwe*, a co *falsywe*”. W jakiś sposób jednak *to* zdanie uchodzi za bezspornie prawdziwe. Inne głosi, że „prawda i fałsz są tylko kulturową inwencją”. Ale to stwierdzenie chce być oczywiście prawdą transkulturową. Jeszcze inne twierdzą, że „to, co prawdziwe lub fałszywe, zależy od paradygmatu, który się przyjmuje”. Samo jednak uznaje się najwidoczniej za metaparadygmatyczne. Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać fakt, jak niektórzy naukowcy mogą zachować spokój wobec tych jawnych niekonsekwencji.

Druga grupa niekonsekwencji dotyczy ślepego podporządkowania naukom przyrodniczym. Czasami nauczyciele akademicki, kiedy czują się przyparci do muru, wycofują się nieco ze stanowiska skrajnego, że nie ma żadnej wiedzy (czy też *prawdy*), i zajmują bardziej umiarkowane. Przyznają oni, że uzasadniona i obiektywna wiedza jest tam, gdzie wchodzi w grę nauki empiryczne, natomiast wyniki pozostałych dyscyplin muszą zadowolić się statusem opinii. Jest to więc scenariusz wzorowany na „dwóch kulturach” Snowa, o którym wspominałem wcześniej. Chociaż bronił on tej postawy dziesiątki lat temu, to nieprzerwanie rzuca ona swój urok na wielu dzisiejszych nauczycieli.

Niemniej jednak liczba bezkrytycznych zwolenników „dwóch kultur” szybko się zmniejsza. Jak pokazują wyżej wymienione niekonsekwencje, przeważający relatywizm epistemologiczny i moralny w akademii zmusił wielu intelektualistów, w meandrach postmodernistycznej skrajności, do uznania, że wszystkie roszczenia wiedzy są arbitralne. Ludzie nie są w stanie poznać niczego, poza własnymi inwencjami, a więc wiedza, nawet płynąca z nauk przyrodniczych, jest ostatecznie ludzką konstrukcją. Dla wyjaśnienia tej konstrukcji są proponowane przeróżne teorie. Niektórzy teoretycy opowiadają się za ekonomią, inni za kulturą eurocentryczną. Jeszcze inni preferują płęć, kolonializm czy też psychologię. Ostateczny rezultat jest taki, że nauki fizykalne zanurzają się w odmętach relatywizmu, podobnie jak nauki humanistyczne.

Moda na konstruktywizm jest sposobem, w jaki wielu współczesnych intelektualistów amerykańskich stara się pokonać problem „dwóch kultur” Snowa. Roszczenia względem wiedzy, nawet te w naukach fizykalnych, są redukowane do arbitralnych, społecznych konstrukcji. Relatywizm staje się konsensusem. Oczywiście konsensus ten jest tylko maską, za którą jest ukryta prawdziwa tajemnica relatywizmu w akademii. Żaden myślący człowiek nie może wierzyć w relatywistyczny konsensus. Udziela mu jednak swego poparcia z uwagi na polityczną nagrodę, która jest prawdziwym celem amerykańskiej edukacji: indoktrynacja studentów, której zadaniem jest zniszczenie grecko-rzymskiego i judeochrześcijańskiego dziedzictwa (do którego *notabene* należą uniwersytety, w których kształcą się ci sami studenci).

Zniszczenie uniwersytetu jest naturalną konsekwencją przekonania o tym, że wiedza nie istnieje. Wiedza, w moim przekonaniu, jest zdolnością ludzkiego umysłu do odczytania informacji z prawdziwego (niezależnego od umysłu) świata. Zakłada to dwa sądy, których współczesna akademia się wypiera: (1) że w świecie realnym istnieją natury oraz (2) że istnieje relacja między substancjami, taka, że człowiek poznający (jedna substancja) jest świadomy prawdziwego, poznawalnego zmysłami i inteligibilnego przedmiotu (innej substancji). Na drodze tej relacji (komunikacji) między substancjami człowiek poznający może zdobyć przynajmniej częściowe zrozumienie, nawet jeśli tylko na drodze wnioskania z natury konkretnych rzeczy.

Pod wpływem sceptycyzmu, wielu (jeśli nie większość) współczesnych intelektualistów niechętnie przyznaje, że przyczyną wiedzy, określającą jej treść, są rzeczy niezależne od umysłu. Z drugiej strony jednak nie dysponują oni odpowiednim słownictwem do podejmowania kwestii związanych z realizmem. Edukacja bowiem znajduje się w impasie *nominalistycznym*. Wiedza składa się ze słów, które odnoszą się do innych słów i koncepcji. Słowa i koncepcje są zakotwiczone jedynie w sobie lub w myślach, ale z pewnością nie w rzeczach. W rezultacie, jeżeli edukacja ma mieć miejsce, to musi przyjąć formę retoryki i polityki.

Skoro nie ma prawdziwych przedmiotów, które intelekt mógłby poznawać, to epistemologicznym standardem staje się wiedza praktyczna. Tym samym publicznie rozpoznawalne przedmioty wyznacza praktyka, a konkretnie – progresywna polityka. Nowoczesny intelektualista przedkłada *praxis* ponad *theoria*. Jego spekulatywny intelekt, jako przedmiot poznania, może mieć tylko siebie. Nie może on uzasadnić tego, co twierdzi, że wie. Jakże wiele jest jednak twierzeń i rywalizujących teorii, jakże wielu jest tych, którzy wiedzą²⁰.

Aby przewyciężyć (lub zakamuflować) tę epistemologiczną anarchię, profesorowie uniwersyteccy przystępują do wspólnego projektu politycznego. Stwarza to pozory jednolitego programu i jednorodnej kultury uniwersytetu. Jak zauważył jeden z filozofów wychowania, nowoczesny uniwersytet amerykański jest bardziej drogą do sofistyki niż do filozofii. O ile sofistykę rozumiemy tak, jak ją rozumiał Sokrates: jako kombinację poezji (retoryki) i polityki, której celem jest indoktrynacja młodzieży. Trafnie ujmuje tę sytuację tytuł książki Davida Horowitza na temat uniwersytetu amerykańskiego: *Indoktrynujący uniwersytet (Indoctrination U)*²¹.

²⁰ Nt. jasnych i przenikliwych rozważań o tym, dlaczego nowoczesny nominalizm i przedkładanie tego, co praktyczne, ponad to, co teoretyczne, jest charakterystyczne dla nowoczesnej ideologii, zob. P. A. Redpath, *The Masquerade of the Dream Walkers: Prophetic Theology from the Cartesians to Hegel*, Amsterdam 1998. Zob. również tenże, *Thomist Humanism, Realism, and Retrieving Philosophy in Our Time*, „Instituto Universitario Virutal Santo Tomas”, Fundación Balmesiana-Universitat Abat Oliva CEU, 2003.

²¹ D. Horowitz, *Indoctrination U: The Left's War Against Academic Freedom*, New York 2007.

Wspomniałem, że słowo *prawda* jest rzadko słyszane. Jednak pojawia się ono w tych kontekstach, których działanie ma zdekonstruować zachodnią i chrześcijańską tradycję związaną z prawdą. Profesorowie przyznają, że można odpowiedzialnie używać słowa *prawda* pod warunkiem, że nie oznacza ono sądu, za pomocą którego ujmuje się przedmiot istniejący poza poznającym człowiekiem. To prowadziłoby do filozoficznego realizmu. Uniwersyteccy sofiści nie mogą sobie pozwolić na dopuszczenie realizmu do dyskusji. Realizm odsłania niedający się utrzymać nominalizm i arbitralność modernistycznych systemów ideologicznych, które uchodzą za „korpusy wiedzy” na dzisiejszych uniwersytetach. Realista ujawnia kłopotliwą sytuację, że król jest nagi. Realizm oznaczałby zgon wszelkiej politycznej poprawności, sceptycyzmu i relatywizmu, które dręczą kulturę. W konsekwencji można spotkać niewielu realistów na uniwersytecie. Jednym z ostatnich miejsc, gdzie można ich jeszcze znaleźć, jest wydział filozofii. Jeżeli jacyś „realistyczni renegaci” zostaną tam przypadkiem zatrudnieni, to najczęściej są ignorowani i marginalizowani, a nawet – co najgorsze – padają ofiarą bezpardonowych prześladowań właściwych metodom politycznej poprawności.

Czymże więc jest prawda na uniwersytecie? Odpowiedź jest złożona: prawda jest poezją albo konsensusem.

Prawda sprowadza się do *poezji* (do uczuć), ponieważ *logiczna* prawda (fakty i obiektywność) wyraża się w kategoriach absolutnych, a oświecone umysły wiedzą, że takie kategorie nie istnieją. Autentyczna prawda jest tylko subiektywna i relatywna. Mogę mieć „moją prawdę”, ktoś inny może mieć „swoją prawdę”. Czyjaś prawda może być przeciwna mojej, ale nie może być błędna. Prawda – jak wyjaśnia Mortimer Adler – może występować w sensie *poetyckim* tam, gdzie nie obowiązuje sprzeczność, ale tam, gdzie głoszona jest jakaś prawda, a jej zaprzeczenie nie może być także prawdziwe, nie może występować prawda w sensie *logicznym*²².

2. Prawda jest gnostyczna. Relatywizm nie zaprzecza, a wręcz przeciwnie – usprawiedliwia gnostycyzm nowoczesnego uniwersy-

²² M. Adler, *The Plurality of Religions and Truth in Religion the Unity of Truth*, New York 1990, rozdz. 2: „The Logic of Truth”.

tetu. Oczekuje się, że prawda zostanie uznana w duchu braterskiej lojalności wobec *magisterium* oświeconych (i zazwyczaj laickich) umysłów. Jeżeli prawda należy do *praxis* i jest poetyckim uczuciem, to na jakiej podstawie można zdecydować, które uczucia są naprawdę godne wyboru? Odpowiedź leży w konsensusie. Właśnie to zasugerował Thomas Sowell w tytule swojej książki *Wizja namaszczonych* (*The Vision of the Anointed*). Istnieje przekonanie, że właściwie myślący i oświeceni ludzie myślą w określony sposób: wierzą w „uznane prawdy”. Gdyby jakiś dysydent przeciwstawił się konsensusowi, zostałby skazany na banicję. Gnostyk nie jest w stanie wykazać na mocy standardów prawdy logicznej, że „alternatywna prawda” dysydenta jest fałszywa. *Logiczna* prawda jest bowiem przestarzała i nieoświeconą koncepcją prawdy. Zakłada ona, że znamy sposób, w jaki rzeczy istnieją. Sceptyk przekonuje nas, że taka wiedza jest złudzeniem. Przez dekonstrukcję klasycznego znaczenia *prawdy*, sama *prawda* jest korygowana, ale nie porzucana. Prawda jest teraz emocjonalna. Uczucia nie mogą ze sobą kolidować. Ale okazuje się, że niektóre uczucia są bardziej *szczerze* od innych. W związku z tym gnostyk wie, że dysydent myli się, ponieważ nie podziela „szczerych uczuć” (poetyckiej wrażliwości) konsensusu.

Tolerancja

Na amerykańskim uniwersytecie nic nie jest tak szczerze, jak tolerancja. Studenci i większość profesorów uznaje relatywizm, ponieważ nie widzi, jak tolerancja może bez niego funkcjonować. Świadomy tej sytuacji Allan Bloom rozpoczyna swoją mentorską książkę pt. *Umysł zamknięty* (*The Closing of the American Mind*) od następujących słów:

„Jednej rzeczy profesor może być absolutnie pewny: niemal każdy człowiek podejmujący studia na uniwersytecie wierzy, bądź też mówi, że wierzy, iż prawda jest względna. Jeżeli to przekonanie poddać próbie, to reakcję studentów można przewidzieć: nie rozumieją. Względność prawdy nie jest wnioskiem teoretycznym, lecz moralnym

postulatem, warunkiem wolnego społeczeństwa, a przynajmniej tak widzą to studenci”²³.

Obserwacja Blooma jest kluczowa. Relatywizm paradoksalnie wyznacza uniwersytetowi jasny cel moralny. Popierając relatywizm, nauczyciele przyczyniają się do rozwoju wolnego społeczeństwa. Relatywizm służy bowiem realizacji zadania politycznego: projektu, który ma zastąpić aksjomatyczne wartości wcześniejszej edukacji amerykańskiej. Bloom pokazuje, że chociaż relatywizm jest niespójny, to studenci uznają go, ponieważ podtrzymuje on jedyną wartość, której oni nie kwestionują.

„O tym, że jest to dla studentów problem moralny, przekonuje charakter ich reakcji na pytanie, łączące w sobie nieufność i oburzenie. Pytanie brzmi: *czy ty jesteś absolutystą?* Wypowiadane jest ono jednak w tym samym tonie, co inne: *czy ty jesteś monarchistą?* lub *czy naprawdę wierzysz w czarownice?* To ostatnie może deprymować, ponieważ ktoś, kto wierzy w czarownice, mógłby równie dobrze być łowcą czarownic lub też sędzią w ich procesie. Niebezpieczeństwem, które studenci dostrzegają w absolutyzmie, nie jest błąd, lecz nietolerancja. Relatywizm jest koniecznym warunkiem otwartości. I dlatego jest on cnotą, jedyną cnotą, nad zaszczepieniem której pracowało całe szkolnictwo elementarne przez ponad pięćdziesiąt lat”²⁴.

Edukacja uniwersytecka jest więc kontynuacją indoktrynacji relatywistycznej. Według Blooma ironią trąci fakt, że relatywizm zamiast podcinać skrzydła uniwersytetu, raczej określa jego tożsamość i misję. Jest tak dlatego, że czołowi amerykańscy nauczyciele interpretują tolerancję jako postać relatywizmu. Bloom dostrzega ten fakt i przyznaje, że świadczy on o odejściu od klasycznego znaczenia słowa *tolerancja*. Jego tradycyjne rozumienie zawarte jest w słynnej wypowiedzi Woltera: „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam życie, abyś miał prawo to powiedzieć”. Wolter rozumie, że prawdziwa tolerancja nie suponuje relatywizmu. Rzeczy mogą być naprawdę słuszne lub niesłuszne, prawdziwe lub fałszywe, dobre lub złe. Jednak

²³ A. Bloom, *The Closing of the American Mind: How Higher Education has Failed Democracy and Impoverished the Souls of Today's Students*, New York 1987, s. 25.

²⁴ Tamże, s. 25-26.

dla innego dobra, dla harmonii społecznej, dopuszcza on brak zgody w różnych sprawach. Bloom pokazuje, jak słowo *tolerancja* zmieniło swoje znaczenie. Teraz oznacza ono sytuację, w której nikt nigdy nie powinien oceniać, czy coś jest słuszne czy niesłuszne, prawdziwe czy fałszywe, dobre czy złe. Hasło „żadnych sądów” stało się naczelną dewizą. Innymi słowy, już sama niezgoda jest rodzajem nietolerancji. Wydawanie sądów jest uprawianiem bigoterii. Ponieważ jednak kultura Zachodu opiera się na różnego rodzaju sądach, stąd musi być poddana dekonstrukcji według ostatnich, bardziej „oświeconych” standardów tolerancji.

Konsekwentne utrzymywanie relatywizmu – jak wcześniej zauważyłem – jest oczywiście rzeczą niezwykle trudną, jeśli wręcz nie niemożliwą. „Podrap relatywistę – jak głosi powiedzenie – a znajdziesz pod spodem absolutystę”. A zatem, kiedy zdrapie się fornir lub kamuflaż relatywizmu z amerykańskiego kampusu, wówczas oczom wszystkich ukażą się nieprzeliczone absolutyzmy. I to właśnie one są prawdziwym celem relatywizmu uprawianego przez nauczycieli. Relatywizm jest jednak zwyczajnym narzędziem politycznym. Jego działanie prowadzi do marginalizowania konserwatystów przez dyskurs polityczny na terenie kampusu (jak zresztą całej kultury), który jest zmonopolizowany przez liberałów. Do nich też należą ci nauczyciele, którzy kontrolują program. Dlatego ich wizja edukacji jest rodzajem indoktrynacji.

Strategia liberalnych nauczycieli polega więc na wprowadzaniu w życie relatywizmu, który przybiera maskę pluralizmu i multikulturalizmu, na propagowaniu koncepcji tolerancji i otwartości w celu zastąpienia tradycyjnych programów modnymi jednostkami akademickimi, kierunkami studiów i programami, które napędzają społeczne i polityczne zmiany. Pretekstem ich działania w amerykańskim kampusie jest „społeczna sprawiedliwość”. A ponieważ sprawiedliwość socjalistyczna tłumaczy się w kategoriach „przestępcy i ofiary”, stąd programy układane w ich świetle mnożą się i różnicują: od seminariów poświęconych kwestiom kobiet do badań nad grupami etnicznymi. Każdy z tych programów oparty jest na założeniu, że *wiedza* i *wartość* są historycznymi konstrukcjami Białych Mężczyzn z Europy, poprzez które uciskają oni i zdobywają świat. Ostatecznie to-

lerancja, sprawiedliwość społeczna (wiktymologia) i konstruktywistyczne poglądy na temat wiedzy dają racjonalne podstawy dla krytyki tych programów²⁵.

Moralne przesłanie tego artykułu wyraża się w przekonaniu, że życie społeczne zasługuje na więcej. Amerykańskie społeczeństwo uznaje ideę, że każda młoda osoba musi studiować na uniwersytecie. Gdyby nasza społeczność była bardziej przezorna, to zmieniłaby swoje naiwne i romantyczne patrzenie na życie uniwersyteckie, niczym na korzystne „pierwszeństwo przejazdu” dla amerykańskiej młodzieży. Rodzice zachowaliby ostrożność i rozagę, czy powinni posyłać swoich synów i córki do instytucji, które częściej podobne są do obozów reedukacji stalinowskiej niż do uniwersytetów.

Tłum. ks. dr Paweł Tarasiewicz

The American University Exposed

Summary

The Author describes and explains the present culture of the American university. He focuses on such issues as: prominent status of the physical sciences in curricula, influential role of the social sciences in the campus, affinity of the university and the „baby boom” generation, political affiliation of „baby boomers”, and tolerance as a species of relativism. He concludes that the American university is awash in ideology, especially in the Left-Wing ideology that spawns many corruptions.

²⁵ Nt. pasjonującej dyskusji o wiktymologii i marksizmie w ideologii feministycznej, zob. Ch. Hoff-Sommers, *Who Stole Feminism: How Women Have Betrayed Women*, New York 1994.